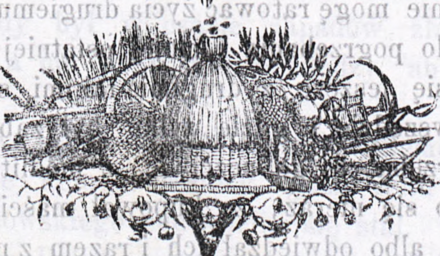
Tom XX.  Nr. 12.

21. Kwietn. 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Bonifacy.

Niedaleko Warszawy leży wieś Czerniaków, gdzie jest kościół cudowny św. Bonifacego, dokąd chodzili Polacy katolicy z dalekich stron na odpust, który się odbywał zawsze dnia 14. maja, w sam dzień św. Bonifacego.

Ten św. Bonifacy był patronem Polaków, którzy też doznali nieraz cudownej jego opieki. Nie rodził on się poprawdzie ani chował w polskim kraju, ale pobożni Polacy obrali go sobie za patrona jak św. Floryana. Za czasów pogańskich cesarzów w Rzymie, już to temu półtora tysiąca lat, żył ten Bonifacy za młodu dosyć światowo, marnował majątek ojcowski, ale poznał nareszcie, że się wszystko człowiekowi sprzykrzy, tylko Bóg nigdy, poznał, że nie ten szczęśliwy, kto bogaty i w światowych zbytkach zakochany, ale kto pobożny, pracowity i Bogu i ludziom oddany. Przypatrzył on się, jakto poganie prześladowali i męczyli chrześcian, jak spokojnie i radośnie umierali w mękach chrześcianie, i uczuł z tego taki prawdziwy żal, że sobie postanowił zostać z poganina dobrym chrześcianinem. Co dobrego zamyślał, to dokonał.

Poganie zaś tak byli źli, że nie tylko zabijali chrześcian, ale po zabiciu zostawiali pokrwawione i pokaleczone ciała chrześcian bez żadnego pogrzebu. Bonifacy też tak sobie postanowił:

— Kiedy nie mogę ratować życia drugiemu, to mu nie będę żałować ziemi do pogrzebania i mojej ostatniej przysługi.

I zmówił się jeszcze z drugimi takimi samymi jak on, chcdzili więc wszędzie i gdzie tylko był zabity chrześcianin i leżał bez pogrzebu, to go uczciwie, z modlitwami i płaczem grzebali. Trafiło się nieraz, że kupował maści i dawał im na smarowanie ran, albo odwiedzał ich i razem z nimi gotował się na śmierć, a potem całował w płaczu wielkim te łańcuchy i powrozy, które mieli męczennicy na rękach i nogach. Mawiał zaś do nich:

— Nie bójcie się męki i śmierci, bo dłużej was niż tych pogan — chrześcianie zostaną, a poganie przepadną bo Bóg z nami!

Gdy tak swój majątek obracał ku pomocy drugich, gdy swoją nauką nawrócił nie jedną grzeszną duszę do Boga, gdy się szczerze litował i zajmował prześladowanemi chrześcianami, poznali poganie, że był już nawrócony i zabrali się do niego.

Myśleli oni, że Bonifacy miał taką duszę światową, jak to bywało dawniej, że jak go zaczną męczyć, to mu się odniechce Boga i nieba. Bili go więc po całem ciele nie laskami albo powrozami, ale żelaznemi kijami aż do krwi, a gdy takie bicie nie zmieniło jego dobrej i twardej duszy, zabijali mu za paznokcie ostre gwoździki, gdy zaś i takie męki wytrzymał bez jęku, wtedy lali mu do gęby roztopiony ołów. Jak mu przestali lać, to Bonifacy oparzonym językiem jeszcze przemawiał:

— Daremno wymyślacie ze mną, ja się nie zaprę tego, żem nawrócony, za nawrócenie dziękuję naprzód Bogu a potem dobrym ludziom!

Za takie słowa święte wrzucili go poganie na głowę do beczki z smołą gorącą a gdy go wyciągli z beczki i widzieli, że jeszcze dycha, wtedy ucięli mu głowę siekierą i tak zabili Bonifacego, który za tyle mąk i za wytrwałość swoją został św. męczennikiem. Na grobie jego wyfundowała jedna pobożna pani wielki kościół w Rzymie, który stoi do dziś.

Otoż takiego św. męczennika obrali sobie pobożni Polacy za patrona, który był im przykładem do znoszenia mąk różnych, jakie niejeden Polak znosił w niewoli tatarskiej, tureckiej, mongolskiej, gdy był w czasie napadów złapany albo na wojnie pojmany a nie miał tyle pieniędzy, aby się wykupić z niewoli.

Miał ten św. Bonifacy kościół z wielkiemi odpustami we wsi Czerniakowie koło Warszawy, gdzie roku 1786 za króla polskiego Poniatowskiego cud wielki się stał.

Jeden oficer Polski, nazwiskiem Czernielewski, był tak pobożny, że co rok był na odpuście na św. Bonifacego. Ale nie chodził on na ten odpust z ciekawości, albo dla zabawki jakiej, jeno z wielkiej pobożności. Wracał z odpustu coraz lepszy, na duszy oczyszczony, z postanowieniem obracać życie swoje na dobro kraju i zbawienie swoje i drugich. Miał on wieś po ojcu, którą sprzedał i zamyślał z temi pieniądzmi coś najlepszego zrobić. Ale w drodze opadli go źli ludzie i odebrali mu pieniądze. Biedny Czernielewski poznał tych złodziejów i oskarzył do sądu w Warszawie. Jak to bywa na świecie, że się sędzia niedobry da przekupić nieraz i sądzi najgorzej, tak się stało i tutaj. Złodzieje zmiarkowali, że będzie z nimi źle, toż dali część pieniędzy skradzionych sędziemu, aby ich ratował. Sędzia łakomy i niesprawiedliwy przystał na to, a gdy nie było świadków więcej, tylko sam Czernielewski okradziony, sędzia nie osądził dobrze sprawy i uznał złodziejów za niewinnych. Na to rozpłakał się pokrzywdzony Czernielewski, złożył ręce i zawołał na głos: Święty męczenniku i mój patronie Bonifacy! widzisz moją krzywdę, zapłać im za mnie pokrzywdzonego!

Na te słowa padł sędzia niesprawiedliwy, przewrócił oczy, i rzucał się po ziemi; potem wstał, ale odtąd stracił rozum i zaczął mówić niedorzeczy. Opowiedział sam, że osądził sprawę niesprawiedliwie; prosił, aby na nowo tę sprawę sądzili inni sędziowie.

Cud taki przestraszył sędziów w Warszawie, król sam zawołał do siebie Czernielewskiego, wypytywał go o wszystko i kazał na nowo złodziejów sądzić. Sędziowie przestraszeni

osądzili teraz złodziejów i kazali pieniądze oddać, a złodziejów ukarali sprawiedliwie. Czernielewski poszedł potem do kościoła cudownego św. Bonifacego w Czerniakowie, podziękować Bogu za opiekę i pomoc daną, jaką mu uprosił u Boga św. Bonifacy, opowiedział ten cud przy świadkach i zapisał go tam w książce na wieczną pamiątkę i naukę dla Polaków, jak mają sądzić wszystkie sprawy po wsiach i po miastach.

Sto lat temu dochodzi, jak się stał ten cud w Czerniakowie. Zmieniło się teraz za rządów Moskala wszystko. Dawniej wolno było katolikom Polakom chodzić gromadami i z processyą na odpust do cudownego kościoła w Czerniakowie, dziś Moskal skasował odpusty i nie pozwala ludziom chodzić na nabożeństwo. Kościół cudowny stoi zamknięty i nie wolno się pomodlić do św. Bonifacego w potrzebie niejednej. Grunta kościelne zabrał Moskal i osadził tam brodatego popa swego, który odprawia po moskiewsku nabożeństwo. Taka to pobożność moskiewska, że pozabierał cudowne kościoły, pozamieniał je na cerkwie swoje, organy wyrzucił, obrazy święte poniszczył, ołtarze poprzerabiał na sposób moskiewski, rożańce pokasował, bractwa rozpędził i godzinki śpiewać zabronił.

A wy co to czytacie, bierzcie sobie dobrze i sprawiedliwie na uwagę, że Moskalowi nie trzeba wierzyć, bo on jest judaszem dla katolików. *Xiądz Wojciech z Zaleszan.*

Żebrak.

Patrzcie na brodę mą białą,
I na te szaty podarte;
Pukałem wszędzie nieśmiało,
Znalazłem chaty zawarte!
Patrzcie na rzeki, na błonie;
Brnę przez te śniegi zdaleka.
Teraz tu do was się chronię,
Raczcie wysłuchać człowieka!
Skarb mnie nie czekał na świecie,
Byłem wśród pracy ubogi;

Teraz już starość mnie gniecie,
Ledwie że noszą mnie nogi,
Wyszedłem żebrać o wschodzie,
Słońce już stacza się z nieba,
Błąkam się dotąd o głodzie,
Ani napoju ni chleba!
Niech was nie gniewa wołanie
Żebraka, co ufa Bogu,
Abym — uchowaj mię panie!
Nie padł tu przy waszym progu!

J. P. T.

Szymon z Zawiśla.

IV.

(Ciąg dalszy.)

Szymon teraz codziennie, skoro tylko powrócił z pola po robocie, zjadłszy wieczerzę wychodził samotnie na brzeg Wisły i tam się przechadzał, patrzył na brzeg przeciwny, wzdychał i dumał nie mogąc oczu oderwać od widoku, który się przed nim rozścielał. Niedaleko chaty Jakubów był nad samą Wisłą podnioślejszy pagórek, z którego widać było jak na dłoni kilka wiosek okolicznych leżących na drugim brzegu rzeki. Owoż na tym pagórku najczęściej Szymon siadywał. Marynka też wychodziła za nim ale widząc go tak zadumanym nie śmiała zagadać do niego, kryła się więc za drzewem i z ukrycia patrzyła na Szymona, on zaś choć ją i dostrzegł czasem to milczał i nie spojrzał na nią ni razu, jeno trzymał oczy wlepione w jeden punkt.

Jednego wieczora kiedy on znowu usiadł według swego zwyczaju na tym pagórku i tak się w jedną stronę wpatrywał Marynka przyszła po cichu i stanęła za nim tak, że jej nie widział. Stoi chwilkę w milczeniu i serce jej bije, boi się spojrzeć w oczy Szymonowi a tem bardziej zagadać do niego aby ją natrętną nie nazwał, ale ją coś ciągnęło aby nań koniecznie popatrzyła; zagląda więc z boku a Szymon ma twarz rękami zakrytą i po rękach łzy mu ciekną z oczu.

Marynka nie mogła już dłużej wytrzymać, zapłakała też głośno i zawołała:

— Szymonie, Szymonie jedyny, czego ty płaczesz? co się tobie stało? co tobie jest takiego?

Szymon się ocknął, ścisnął Marynkę za rękę i rzekł:

— Bóg ci zapłać dziewczyno za twoje litościwe serce. Pytasz mię co mi jest? . . . oj! jest ci mi jest, ledwo serce nie pęknie.

I zadumał się znowu na chwilkę. Marynka przymilając się mu jak siostra bratu, powtarza pytanie.

— Oj nie ma już dla mnie pokoju, nie ma szczęścia dla mnie na tym świecie, rzecze Szymon. Widzisz ty Marynko tam daleko za Wisłą ten pozłocisty krzyżyk na wieży kościółka?

Marynka wytężyła oczy ale blask bił od słońca i nic widzieć nie mogła.

— Nie widzę, odrzekła.

— Nie widzisz? o! to szkoda! ozwie się Szymon; a ja go widzę zawsze choć nawet nie patrzę na niego — bo ten krzyżyk, Marynko kochana, świeci jak gwiazdeczka we dnie i w nocy mojej rodzinnej wiosce Patrz! patrz Marynko, tam kędy ten lasek brzozowy, i pagórki zielone na których złoci się pszenica, to Zawiśle, wieś stokroć piękniejsza jak Trzydniów, a jam się w niej urodził. Tam mię serce ciągnie, choć mię tam skrzywdzono, choć mię z tamtąd wygnano. Tam ja kiedyś gdy starość przyjdzie choć umrzeć muszę, choć spocząć na wieki, gdy żyć nie mogłem szczęśliwy, bo starego dziada z pod kościoła nie wypchną, i pochowają w święconej ziemi. Cóż to za rozkosz dla mnie była przez te dwa lata, którem tu u was przeżył, żem kiedy niekiedy mógł rzucić okiem w tę stronę z której pochodzę, żem się mógł pomodlić właśnie wtenczas, gdy tam na pacierze dzwonili! Teraz pójść muszę Bóg wie gdzie, może za dziesiątą granicę; już ani dzwonka co się tam na wieży kołysze nie usłyszę, ani pozłocistego krzyżyka widzieć nie będę.

— Szymonie, przerwie mu Marynka, ty chcesz gdzieś iść? chcesz nas porzucić?

— Boleśnie mi to dziewczę kochane ale inaczej być nie może.

— A to czemu? oj! widzę ja, widzę że ojcowie jakąś ci krzywdę zrobili, bo ty już oddawna nie taki jak niegdyś.

— Nie zrobili mi twoi ojcowie żadnej krzywdy, owszem wiele mi dobrego wyświadczyli, i o nic żalu do nich nie mam. Wszak to oni przyjęli mię do chaty, gdym nie miał gdzie głowy położyć, wszak obchodzili się ze mną nie jak z parobkiem ale jak z rodzonym synem.

— Więc o cóż ci chodzi? czemu chcesz nas porzucić?

— A ty byś rada Marynko, abym z wami nadal pozostał? zapyta jej Szymon.

— O mój Szymonie, jak możesz o to pytać? czyś ty tego nie widział żem ci zawsze jak bratu życzyła?

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! moja Marynko jedyna. Zostać z wami nie mogę, bo tobie czas pójść zamąż, a póki ja tu będę to nigdy nie pójdziesz; parobcy bowiem myślą że ja się z tobą żenić będę i dla tego żaden po ciebie nie przysyła swatów.

— Co też ty mówisz Szymonie? co tobie w głowie? tybyś miał porzucać nas dla tego abym ja zamąż poszła? Albożto ja koniecznie muszę pójść zamąż? Albożmi to źle z ojcami i z tobą? O! ja nigdy zamąż nie pójdę, ani słyszeć o tem nie chcę, jeno ty wybij sobie z głowy te myśli, co cię niepokoją i zostań nadal z nami.

Umilkła Marynka i w oczy popatrzyła Szymonowi, ale on jakby jej nie słuchał, ciągle patrzył przed siebie, na drugi brzeg Wisły, i szukał oczyma tego pozłocistego krzyżyka na kościelnej wieży o którym mówił niedawno, i tak oboje milczeli przez chwilę.

Nagle Szymon się zerwał i skoczył na równe nogi. Marynka się przelękła i też wstała prędko. Zdawało się jej, że tam gdzie Szymon ręką wskazywał jakby na swoją wieś, było widać dym, a w tem on jęknął przeraźliwie, uchwycił się obiema rękami za głowę i jak szalony poleciał ku Wiśle: Dziewczyna przerażona patrzy co z tego dalej będzie, Szymon się rozpędził i z brzegu wskoczył w rzekę.

Marynka wołając za nim po imieniu biegła ku Wiśle i rwała włosy w rozpaczy; tymczasem czerwona czapka Szymona mignęła się kilka razy i utonęła, a on przepłynął Wisłę, wyszedł na brzeg, otrząsł się z wody i niebawem zniknął w gęstwinie.

— O mój mocny Boże! krzyknęła załamując ręce; co ja teraz pocznę nieszczęśliwa! Szymonie, Szymonie jedyny! wołała za nim; zaczekaj chwilkę, tylko jedno słowo ci powiem: ja nie chcę iść zamąż i za nikogo nie pójdę, wróć do nas jak

będziesz mógł, znowu będziemy szczęśliwi jak dawniej. Tylko wróć! wróć bo ja umrę bez ciebie. . .

Tylko echo niosło biednej dziewczynie odpowiedź z jej własnych słów złożoną. Szymon jej nie słyszał, on był już daleko, był już w swojej wiosce rodzinnej i jedno tylko widział przed sobą: pożar kościółka w Zawiślu.

Marynka choć go już dawno straciła z oczu, jeszcze ciągle stała w miejscu z oczyma wlepionemi w tę stronę w którą Szymon poszedł. Może jej się ciągle jeszcze zdawało że go widzi... może jego nagłe zniknięcie poczytywała za senne marzenie, może własnym zmysłom nie dowierzała...

V.

Straszne nieszczęście dotknęło Zawiśle, ową rodzinną wioskę Szymona, za którą on tak tęsknił blisko od lat trzech. Po zachodzie słonka ni ztąd ni z owąd wszczął się pożar w domku kościelnego i nim się ludzie zbiegli na ratunek nie tylko to domostwo zniszczył, ale i kościółka dosięgnął.

Cała wieś ruszyła się na obronę domu bożego, i ze dworu przybiegł pan ze wszystką czeladzią. Sto rąk za przykładem księdza proboszcza wzięło się raźno do roboty.

Jedni znoszą wodę, drudzy palące się głownie rozrywają osękami, inni świętości wynoszą z kościoła; ksiądz proboszcz ludzi zachęca, a sam pan dziedzic kieruje obroną.

Ale wszystko napróżno, wszystkie wysilenia poczciwych kmiotków na nic się nie przydadzą. Płomień wiatrem sycony coraz się bardziej rozszerza, już cały dach w ogniu, już się pali wieża i dzwonnica już trzeszczy.

Straszna łuna świeci na niebie, zmięszane głosy ludzkie rozlegają się daleko.

Ledwie ściany uratować zdołano.

Obrazy, chorągwie i resztę sprzętów kościelnych wyniesiono na cmentarz; tam kilku gospodarzy czuwa nad świętym dobytkiem, a tymczasem inni uwijają się jeszcze na pogorzelisku, bo i tam jeszcze dość jest do roboty.

Zwolna gwar zaczął ustawać ten i ów wrócił do chaty, i słychać już tylko nawoływanie tych, co się do stróży nocnej ofiarowali.

Gdy się to działo, człowiek jakiś cały wodą zmoczony, zdyszany i spocony, z głową odkrytą, szedł drogą od Wisły prowadzącą i zmierzał prosto ku kościółkowi. Szedł zaś ostrożnie, przystając co chwila i nasłuchując jakby się bał aby go nie spostrzeżono. Przyszedłszy pod kościół, padł na kolana, całował ziemię i patrząc z rozrzewnieniem na okopcone szczątki domu Bożego, na przepalone belki, tu i owdzie rozrzucone, zapłakał serdecznemi łzami, tak go snać zasmucił widok spustoszenia na tem świętem miejscu.

Pacierz zmówiwszy, powstał i znowu chyłkiem, między domostwa i ogrody, przez płoty i rowy skradał się ku wsi, co krok oglądając się na wszystkie strony.

Zbliżył się nareszcie ku dość porządnej zagrodzie i stanął jakby już dotarł do celu. Nie idzie jednak do chaty, lecz skrada się ku oknu, i wewnątrz przez nie zagląda. Ale snać nie zobaczył w izbie tego co się tam ujrzeć spodziewał, bo wnet odszedł od okna, i znowu chyłkiem po pod ścianę zbliżył się do węgła, ukrył się za nim, i tak z ukrycia dalejże rozglądać się po podwórku i ku drzwiom chaty ostrożnie rzucać okiem.

We drzwiach stała młoda kobiecina, snać gospodyni tej chaty i maleńką dziecinę usypiała przy piersi. Dostrzegła że ktoś na nią z za węgla zagląda i to ją nie mało zdziwiło i przestraszyło. Czeka chwilkę, myśląc że się może obcy z tamtąd wysunie, ale na próżno. Nie mogąc się doczekać, odniosła dziecko do izby i wróciła sama aby natręta odgonić.

Idzie na róg chaty, zagląda za węgieł, a ostrożnie, bo strach ją zdjął, aliści człowiek tam ukryty, ujrzawszy ją, jakby odwagi nabrał, wysuwa się i ręce ku niej wyciąga. Cofnęła się kobiecina, wpatruje się w przychodnia bo poznać go w ciemności nie może, i zawoła nareszcie, niby sobie jakiegoś nieboszczyka przypominając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwalę, choć nie jestem duch jeno człowiek żyjący, odpowie przychodzień cichym głosem, prawie szepcąc; a podchodząc ku niej jeszcze bliżej: Ty mię nie poznajesz Halko?

— Czy mię oczy zwodzą? czy doprawdy ciebie widzę braciszku mój kochany?

— Oj nie zwodzą cię oczy, Halko moja droga, jam ci jest twój brat, ale proszę cię jeno mów nieco ciszej, bo przecie rozumiesz, że nie mam ochoty aby mię tu złapali pod oknyma dawnej kochanki.

— Szymonie! braciszku mój jedyny! zawołała, poznawszy wreszcie brata, którego i ty miły czytelniku zapewne także już poznałeś; jak się masz? jak się masz drogi bracie?

Rzuciła mu się na szyję i on ją powitał serdecznym uściskiem.

— O mój braciszku drogi! u nas tu już wszystko inaczej, już się nikogo nie potrzebujesz obawiać, rzecze znowu niewiasta; ale zkąd się ty tu wziąłeś tak niespodzianie? gdzieś się przez te lata obracał? czemuś nam ni razu nie dał wiedzieć o sobie?

— Najprzód ty mi mów o sobie Halko kochana; o jakich to zmianach wspominasz? cóż tu zaszło takiego? co tu robisz w tej chacie, niegdyś naszych ojców . . ? czy tu służysz może? czy komorą siedzisz? i gdzie Zośka? boć przecie ją i jej męża powinienem tu był zastać a nie ciebie.

— O dużo naraz pytasz braciszku, sama nie wiem od czego zacząć: ale najprzód trzeba ci wiedzieć że jaż nie służę ani tu komorą siedzę, jeno z mężem moim własnym mieszkam i gospodarzę w tej naszej ojcowiźnie. Rok minął jak poszłam za Józefa; pamiętasz go braciszku? On cię zawsze wspomina i serdecznie rad ci będzie. Oj! czemuż go w tej chwili nie ma w chacie. Poszedł do ognia i ani się spodziewa jakiego mamy gościa. Zaraz skoczę po niego.

— Ale gdzie Zośka? gdzie Zośka? pytał Szymon niecierpliwie.

Halka smutno zwiesiła głowę.

— Chcesz wiedzieć gdzie Zośka? rzekła; o! bodajem raczej oniemiała, kiedy to na mnie padło opowiadać ci o niej smutną nowinę, braciszku jedyny. Straszne nieszczęście, straszne nieszczęście! już twojej Zośki więcej nie ujrzysz braciszku, twoja Zośka umarła.

Na te słowa Szymon jakby wrósł w ziemię, jakby skamieniał. Przelękła się Halka, pobiegła ku niemu i chwyciła brata za rękę.

Ocknął się, popatrzył na nią zmienionym wzrokiem.

— Umarła, mówisz? powiedz po prostu, że ją zabił Paweł niecnota, co pewnie tyranem był dla niej a nie mężem, i tak się z nią obchodził jak z nami kiedyśmy byli dziećmi, a on naszym opiekunem.

— Nie, nie; ozwie się Halka prędko, anibyś uwierzył jaki on był dobry dla niej, jak zawsze wszystko z siebie zrobił co tylko chciała; a wszakże i to że mi oddał chatę z całym gruntem i wszystko co nam nasi ojcowie zostawili a on sobie przywłaszczył, to tylko jej robota.

— Więc się przy niej nawrócił stary lis! A gdzie on teraz siedzi?

— Już także na cmentarzu spoczywa, rzecze Halka, z pobożnem westchnieniem; poszedł niedługo za Zośką a jak przykładnie umarł! ksiądz proboszcz spowiadał go i rozgrzeszył.

— Oboje pomarli i ona pierwej od niego i wszystko się skończyło.

A o mnie nie było mowy?

— Była i nie raz, bracie drogi, zwłaszcza skoro nam spuściznę oddawali, ale któż mógł wiedzieć gdzieś ty jest. Gdzież cię było szukać, kiedy nikt nie wiedział co się z tobą stało i różni różnie gadali, a ty opuszczając nas nikomu, ani mnie nawet nie powiedziałeś w którą się stronę obrócisz.

— Nie było wówczas ani chwilki do stracenia, bo wiesz żem wtedy umknął gdy żołnierze po mnie przyszli. Oj! nieboszczyk Paweł umiał dobrze sprawę kręcić; niech mu Bóg tego nie pamięta. A cóż? twego Józefa nie widać?

— Chodźmy do izby braciszku, może się czem posilisz, a ja tymczasem skoczę po niego.

— Idź, idź; niech się ze szwagrem przywitam, ale jeść nic nie będę, chyba się wódki napiję, jeźli ją masz w domu.

— Wódki?

— Dziwisz się siostrzyczko...

— Tyś dawniej nie pił wódki braciszku.

— A tak, dawniej nie piłem, lecz teraz co innego... Zośka umarła... trzeba zapić tę sprawę.

Szymon czy to z zimna czy z wzruszenia drżał jak w febrze i na nogach utrzymać się nie mógł. Halka go wprowadziła do izby i rozniecila ogień. Zajrzał do kołyski

— Ładne wam dziecię dał pan Jezus, a jakie ma imię?

— Także Zosia, odpowie Halka.

— To źle. Jeżli ma być taka szczęśliwa jak tamta, bogdaj się była nie rodziła.

— Oj braciszku, ozwie się Halka, Zośka teraz szczęśliwsza od nas wszystkich, a da pan Jezus, że i ty będziesz jeszcze szczęśliwy.

— Nie na tym świecie, moja kochana... a wreszcie kto wie... może po wódce.

— Zapominasz ty o tem że „siła Bóg może wywrócić w godzinie, lecz kto mu szczerze ufa, nie zaginie."

— A co? jest wódka? Na frasunek dobry trunek! Nie gadaj mi teraz o panu Bogu, bo ja teraz pić będę. Tak, tak; pić i nic innego tylko pić. Ach nic innego, bo cóż począć innego... Zośka umarła...

— Nie mam wódki w domu, pobiegnę po Józefa i po drodze skoczymy do karczmy.

— Biegnij, biegnij żywo, a przynieś jakiej mocnej.

Westchnął.

— Głowa mi cięży... w piersiach ogień pali... oj! oj! Zośka umarła.

Halka odziała się chustką i czemprędzej pobiegła szukać męża. Ale nie prędko wróciła. Godzina minęła, nim go znalazła. Był właśnie na cmentarzu, między tymi co pilnowali świętości z kościoła wyniesionych i miał nawet zostać z nimi przez całą noc.

Obaczywszy żonę w tak spóźnionej godzinie, zadziwił się nie mało, a gdy mu o przybyciu brata rozpowiedziała, zerwał się raźno i zaraz poszedł z nią ku domowi.

W drodze wstąpili do karczmy po wódkę.

Gdy się do chaty zbliżali posłyszeli krzyk swojej maleńkiej Zosi, która płakała rozżalona długą nieobecnością matki. Wchodzą wreszcie do izby i na wielkie swoje zdziwienie zastają brata leżącego na ławie w strasznej niemocy. Gadał od rzeczy i nie poznał nietylko szwagra, ale nawet siostry. Wspominał coś to o Zośce, to o Pawle, to znowu o jakichsiś innych, tu nieznanych osobach, a wszystko bez związku.

Na głowę wskazywał, że go boli i na piersi że go tam ogień pali. Miał usta zczerniałe od gorączki i oczy jego błyszczały ogniem gorączkowym. Taka niemoc zdjęła biednego Szymona, że nawet na posłanie nie mógł przejść o własnej sile, jeno siostra ze szwagrem przenieść go i rozebrać musieli.

Zaniosło się biedakowi na długą i ciężką chorobę. Halka i Józef nie kładli się spać przez całą noc jeno siedzieli przy chorym, czuwając nad nim i modląc się za niego.

Halka będąc młodszą od Szymona, mniejszem od niego dzieckiem była, gdy sierotami zostali, za to dłużej od niego jadła ten gorzki chleb sierocy, niby na łasce u opiekuna będąc. Zdawało się że Paweł jako bezdzietny i bezżenny najlepszym będzie dla sierót opiekunem, ale on dla tego tylko podjął się opiekuństwa, aby sieroty zadławić, a ich dziedzictwo zagarnąć. Nie był on też dla biednych dziatek ojcem jak być powinien, ale najsroższym tyranem, katem.

Szymonowi jako chłopcu łatwiej było znieść jego zdziwiania bo mniej jak Halka siedział w domu, a więcej w polu przy robotach, które choć za ciężkie były na dziecko, i siły jego wątłe przechodziły, przecież nie zmarniły go, jeno jak stal zahartowały. Halka zaś co się wycierpiała, ile łez wylała to tylko jej aniołowi stróżowi i Bogu wiadomo.

Za to wszystko nagrodził ją pan Jezus przeznaczając jej na męża Józefa, człeka poczciwego, pracowitego i rozumnego, przy którym wkrótce zapomniała o niedoli jaką w dzieciństwie przeżyła. Józef znał Halkę i Szymona od najmłodszych lat, bo był także z Zawiśla, a chata jego rodziców stała niedaleko tej, w której niegodziwy Paweł wychowywał sieroty; jego matka zaś nieraz stawała w obronie tych dwojga biednych dzieci widząc znęcanie się Pawła nad niemi. (C. d. n.)

Kilka uwag o chowie bydła.

Dobroć krów co do mleka. Rozliczne są w tym względzie sposoby poznawania, tu wspomnimy o nowszem postrzeżeniu. Pewien wieśniak francuzki wydał pisemko, w którem ogłasza, iż dobroć krowy do mleka, poznać można po rosnącej sierści na udach do góry od wymion; im więcej i na dłuższej przestrzeni wyrasta jej do góry, tem krowa ma być lepsza do mleka, im mniej, tem gorsza, a ta u której rośnie na dół, zupełnie zła. Rozliczne były w tej mierze doświadczenia czynione nader mozolne i nieprzyjemne na kilkudziesięciu krowach, przez członków Towarzystwa rolniczego Szwajcarskiego, które potwierdziło to odkrycie.

Ochędowstwo około bydła. Najlepszego nabiału dostarczają krowy holenderskie, szwajcarskie, angielskie; jednakże piękną ich tuszę i znaczną ilość otrzymywanego od nich wybornego mleka, nie przypisują samej tylko dobroci ich rassy i paszy; ale raczej, wielkiemu a pilnemu ochędowstwu. Codzień wymiatają w owych krajach gnoje, codzień się podściela, i krowy ciągle uwiązane zostają. Chodzenie koło nich jest takie prawie, jak około koni. W jednych miejscach chędożą je zgrzebłami i szczotkami, a w innych używają do tego tylko ścierek słomianych, lecz wszędzie od głowy do nóg ocierają i czyszczą je troskliwie. Przy takiem obchodzeniu się z krowami nie zadziwi nas wcale, że krowa szwajcarska daje codziennie przeszło dziewięć garncy mleka, gdy przeciwnie nasza krowa choćby i najlepsza, zaledwie trzy garnce dostarcza.

Pokarm dla krów. Oprócz zwyczajnej paszy, aby krowy wiele mleka dawały, trzeba je karmić owsem, i zwyczajnym ostem z liściami w stępach tłuczonym. Powiększa dojność krów marchew gotowana, i nietylko mleko ale i masło wyborne otrzymuje się wtedy. Rozliczne łąkowe i warzywne rośliny na miazgę utłuczone, wyciskają się, a pozostała reszta wyparza się gorącą wodą. Soki te na długo przechować się dają a zmieszane z napojem dla krów, przyczyniają się do obfitego otrzymywania mleka.

Pokrzywa bardzo użyteczna roślina, choć pospolicie niesłusznie jest zaniedbana, wybornej ona świeżej czy suchej dostarcza krowom paszy, mleko gęściejszem czyni i masło daje żółte i doskonałe w smaku. Gdy się bydłu świeża pokrzywa daje, należy ją małym pręcikiem wybić, aby nie była tak ostrą. Jedzą ją także chętnie konie, owce i trzoda chlewna Mleko przez liście pokrzywy cedzone jest czyściejsze; młode jej listki siekane z otrębami parzone, lub z mąką dawane kurom, kaczkom ułatwiają niesienie jaj; jest także zdrowa pokrzywa dla indycząt, gdy im gardło czerwienieje. Ze starych łodyg nie tylko wyrabiają mocne sznury (bo te łodygi podobne do konopnych wydają włókna), lecz wymoczone i cienko uprzędzone wydają nici nadzwyczajnej piękności i mocy. W chorobach paraliżowych, bicie pokrzywami zmartwiałych części jest przez lekarzy zalecane.

Z nauki zdrowia.

Płynienie krwi z nosa, gdy nie jest zbyt gwałtowne, gdy nie osłabia, nie powinno być tamowane. Często sama to natura wybiere ten sposób krwi puszczania. Wtedy należy pić tylko napoje chłodzące i siedzieć spokojnie, lecz gdy płynienie nie ustaje, gdy przy znacznem osłabieniu twarz blednieje, gdy jest zaćmienie w oczach, bicie serca, szum w uszach, oddech cięższy, nogi i ręce ziębną, trzeba jak najrychlej krew tamować.

Sposoby zatamowania krwi. Należy rozebrawszy chorego, aby nigdzie nie był ściśniony, zaprowadzić do izby chłodnej, posadzić z podniesionemi piersiami i aby nie ściskał brzucha. Moczyć nogi w wodzie letniej z garścią soli, czoło i głowę obkładać chustkami maczanemi w wodzie zimnej, do której kwarty dolać octu winnego kwaterkę, soli amoniackiej tłuczonej łut, i saletry dwa łuty. Można także okładać lodem potłuczonym na kawałki, ma chory wsiąkać w nos zimną wodę, w której kwaterce rozpuszczone są dwa łuty ałunu. Pić ma limonadę lub ocet z wodą.

Rózżności.

Obce języki. „Nasz Polak, mówi Górnicki, dawny pisarz polski, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zamieszkał: jeżeli był we Włoszech, to za każdem słowem *Signore;* jeżeli we Francyi, to *par ma foi;* jeżeli w Hiszpanii, to: *nos otros cavaglieros.* A czasem drugi, chociaż nie będzie w Czechach, jeno że granicę Szlązka przejedzie, już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po Czesku, a czeszczyzna, wie Bóg jaka będzie.“

Ztąd okazuje się, że oddawna Po lacy zamiłowani w językach cudzoziemskich. Każdy przecież nietylko kraj swój rodzinny, ale i język w nim używany, równie jak swoich ziomków kochać powinien. Najlepszym dowodem zamiłowania ziemi ojczystej, jest ojczysta mowa. Każdy język jest najlepszy, najpiękniejszy, najmilszy dla tych, którzy się go z poczęcia nauczyli. Uczyć się nam należy obcych języków, lecz jedynie dla tego, żeby poznać to co zagranicą kraju naszego na uwagę zasługuje, co nam użytek i korzyść z obcych wiadomości przynieść może. Wszędzie w obcych krajach tylko swego rodzinnego używają języka, a nigdy wstręt do własnej mowy nie powstał. Ani wróbel nie naśladuje pieśni kanarka, ani kanarek świergotania wróbla: ale potrzeba pozytywka i niewoli w klatce do przemienienia głosów ptasich na obce dźwięki; tylko nie baczni ludzie wyrzekają się rodzinnej swej mowy.

Zgon rycerza. Za Władysława Łokietka pamiętna zaszła pod Płowcami potyczka, w której wielu naszej dzielnej poległo młodzieży. Między innemi nie zdołał się utrzymać przeciw potędze Krzyżaków Jakób z Szumska kasztelan Żarnowski. Skłutego dzidami zaledwie go swoi na tarczach na miejsce bezpieczne unieśli. Władysław Łokietek zobaczywszy go tak skłutego, pod drzewem złożonego i umierającego prawie z ran odniesionych, zawołał ze łzami: Tyż to więc najpierwszy z naszych dowódzców, opuszczasz swego monarchę w chwili, gdy twoja dzielna prawica mogła przechylić szalę wątpliwego zwycięstwa! — Nie, nie, odrzekł ciężko raniony, i jedną ręką prawicę króla do ust przycisnął a drugą wskazał na niebo. Rzewnemi łzami, żałością przejęty król zapłakał. Panie mój, rzekł gasnącym już głosem Jakób z Szumska, pamiętaj o żonie i dzieciach moich, a puść w niepamięć tego, który odchodzi do Boga. To wymówiszy, skonał.

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Jeżeliś zdrów, dziękuj niebu i nikomu żadnych nie zazdrość skarbów; masz bowiem największe z dóbr doczesnych.

Jeśliś chory, nie mów wiele o chorobie twojej; nie znudzisz drugich i sam prędzej o niej zapomnisz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.